Magdalena

Środa

Kobiety i władza

Magdalena Środa (ur. 1957) – etyczka, filozofka, publicystka, feministka. Zajmuje się historią idei etycznych, etyką stosowaną, filozofią polityczną i problematyką kobiecą. Profesorka Uniwersytetu Warszawskiego, członkini zespołu „Krytyki Politycznej", redaktorka „Przeglądu Filozoficznego" i „Etyki", stała felietonistka „Gazety Wyborczej". Autorka książek *Idea godności w kulturze i etyce* (1993), *Idee etyczne starożytności i średniowiecza* (1994), *Idee etyczne czasów nowożytnych i współczesności* (1998) oraz *Indywidualizm i jego krytycy* (2003). W latach 2004–2005 pełnomocnik Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn.

wydawnictwo

Kobiety i władza

Magdalena Środa

Kobiety i władza

wydawnictwo

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Kobietom, które kocham:

Agusi, Heli, Dorocie, Piere-Martine, Nice, Pascaline, Korze, Oldze, Wandeczce, Magdusi, Pio, Kazi, Joli, Aneckiej, Gosieńce, Kindze, Tereskom, Krysi, Agrafce, Karolinie i Agnieszce, Lenie, Ani, Annie, Joasi, Małgosi, Bożence, moim mamom, Grzybkowi i wszystkim innym.

SPIS RZECZY

Wstęp 9
1. Czy pani jest feministką? 13
2. Kobiecość prawdziwa? 31
3. Ciało jako przedmiot troski 48
4. O macierzyństwie, tchórzofretkach i kurzych skrzydełkach 67
5. Dziecko 89
6. Kto się boi *in vitro*? 98
7. Co robić, żeby mieć dzieci? 109
8. Dużo mężczyzn, mało partnerów 117
9. Od pasterza do dawcy 128
10. Rodzina w epoce dekonstrukcji 142
11. Seks i Kościół 158
12. Seks, polityka, edukacja 184
13. Aaaaby… 206
14. „Weź jelito owcy” 224
15. O kobiecie, której zgwałcić nie można 233
16. Co nas podnieca? 244
17. Obcy, czyli geje 260
18. Joanny i Safony 276
19. Kościół, Sztokholm i przemoc 289
20. Ręce pełne roboty… 307
21. Cienie i blaski rynku 324
22. Kobiety i władza 341

23. Entuzjastki i radykałki 362
24. Feminizm, lewica, troska 383
25. Solidarność, pamięć, przyszłość 402
Zakończenie 422
Apendyks 425
Przypisy 457

WSTĘP

Powinnam zatytułować ten zbiór tekstów „Moje słuszne feministyczne poglądy na wszystko", ale to by brzmiało podobnie jak tytuł książki Leszka Kołakowskiego, więc swojej dałam tytuł skromniejszy: *Kobiety i władza*. Nie chodzi rzecz jasna o konkretną władzę, lecz o władzę w jej szerokim, kulturowym i politycznym rozumieniu. Płeć, czyli kobiecość, ale także męskość (i wszystko to, co pomiędzy), to kategorie i relacje władzy. Jej wpływ uwidacznia się już przed narodzinami: oczekuje się nas na świecie jako dziewczynki lub chłopców i natychmiast wywiera presję (miłość rodzicielska też jest rodzajem władzy), byśmy spełniali określone, sztywno wyznaczone role. I nie kwestionowali ich. Istnieje więc władza rodziców, rówieśników, władza pastoralna, władza kleru, władza opinii, mediów, władza polityczna, władza boska, władza Prawdy lub Natury. Wszyscy jesteśmy wplątani w rozbudowane sieci władzy zarówno faktycznej, jak i symbolicznej. Z władzą wiąże się przemoc, ale również wolność. Zrozumieć źródła i formy przemocy to postawić poważny krok na drodze ku wolności.

Koniunkcja (i) w tytule tej książki ma dawać do myślenia: Jaka władza? Nad kim władza? Które kobiety mają władzę? Kiedy ją miały? Lepiej byłoby dać tytuł „Kobiety i brak władzy" albo „Kobiety i władza alkowy", żeby się wpisać

w mainstream wydawnictw kobiecych, które co rusz radośnie zawiadamiają swoje czytelniczki, że nie ma to, jak być kobietą, bo to ona jest szyją, która kręci męską głową. Wystarczy być szczupłą, piękną i młodą, a wszystko można osiągnąć.

Ale ta książka nie wpisuje się w popularny mainstream „kultury kobiecej". To książka feministyczna. A od feminizmu wszyscy stronią. Od feministek też. Bo albo boją się utraty władzy, albo boją się wolności.

W maju 2008 roku ukazało się w „Gazecie Wyborczej" zdjęcie z posiedzenia rządu. Jedno z wielu posiedzeń jednego z wielu kolejnych rządów. Na zdjęciu, które zajmowało jedną trzecią strony, widocznych było dziewięciu panów w ciemnych garniturach, których wyraz twarzy świadczył o tym, że wiedzą o znaczeniu, jakie mają, i że cieszą się władzą. Dlaczego na zdjęciu nie było kobiet, również członkiń rządu? „Wypadły z kadru" – poinformowała mnie ówczesna rzeczniczka. „W innych pismach, gdzie kadr był większy, widać było jeszcze minister Kopacz" – dodała, sądząc być może, że minister Kopacz – wszak kobieta – jest wystarczającym dowodem emancypacji i politycznej równości.

Dlaczego w kraju, w którym ponad 50 procent mieszkańców to kobiety i który jest krajem w miarę demokratycznym, rządzą niemal wyłącznie mężczyźni? I dzieje się to, mimo że – jak dowodzą socjologowie – są od kobiet znacznie gorzej wykształceni, mniej zrównoważeni, bardziej egocentryczni i agresywni, więcej piją, częściej popełniają przestępstwa, częściej chorują i wcześniej niż kobiety umierają? Dlaczego kobiety, choć lepiej wykształcone, bardziej zrównoważone, mniej agresywne, bardziej myślące o konkretach niż o abstrakcyjnych ideach, bardziej skupione na trosce o innych niż na partyjnych walkach, nie mają dostępu do władzy, stanowisk, kariery i nawet w sferze prywatnej, w której najczęściej

przebywają, są opresjonowane i pogardzane, bo przecież nikt – a już na pewno nie ci, którzy władzę posiadają – nie docenia tak zwanej domowej pracy kobiet.

„Wypadły z kadru”... – to twierdzenie pani rzeczniczki jest optymistyczne. Bo to tak, jakby kobiety kiedyś w tym kadrze były, ale teraz ich nie ma. Tymczasem one nigdy jeszcze do tego kadru nie weszły! Krytycy powiedzą: „Ale przecież kobiety mają władzę, przecież jest Merkel, Rice, Clinton, królowa Elżbieta!!” Odpowiadam: „Proszę dalej wymieniać!! Ile ich jest?” Lista jest niewiarygodnie krótka, bo przecież kobiety, które mają polityczną władzę, to anomalia, a nie norma.

Książka ta poświęcona jest próbie odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

Nie ma ona charakteru ściśle filozoficznego czy genderowego. To raczej zbiór tekstów, z których znaczna część, w jakiejś postaci, była drukowana[1], inne to „eseje na zadany temat”. W czasie ostatnich dwudziestu lat w wielu miejscach – proszona lub nie – mówiłam, co sądzę o kobietach, ich pozycji i roli w patriarchalnym społeczeństwie, o rodzinie, seksie, dzieciach, macierzyństwie, rynkach pracy, Kościele, solidarności i przemocy. Przyszedł czas, by wszystko to spisać. Zrobiłam to w dwóch celach. Po pierwsze, żeby podsumować tę część mojej intelektualnej i politycznej aktywności, która wykracza poza działalność ściśle akademicką czy publicystyczną, a jest dla mnie osobiście bardzo ważna. Po drugie, chciałam zrobić coś dla popularyzacji idei feministycznych, równościowych i problematyki kobiecej w ogólności. Książkę tę adresuję więc nie tyle do kobiet ze świata akademickiego czy studiów nad kulturową tożsamością płci (*gender*), ile do kobiet po prostu.

Jest to więc lektura popularna, łatwa, choć nie wiem, czy przyjemna. Nie zajmuję w niej stanowiska w ważnych kwe-

stiach problematyki *gender*. Nie polemizuję ze współczesnymi, filozoficznymi koncepcjami podmiotu czy płci (zrobiłam to w innej książce[2]), nie przedstawiam najnowszych badań dotyczących problematyki kobiecej (robiłam to, będąc „na urzędzie”*). Nie jest to nawet sprawozdanie z lektur, które czytałam i czytam, poświęconych tej problematyce. Nie wychodzę poza „drugą falę feminizmu”, to znaczy ten typ refleksji, którego celem jest szukanie odpowiedzi na proste pytanie: „Dlaczego tak się dzieje, że kobieta, wszędzie i zawsze, tylko dlatego, że jest kobietą, znajduje się w gorszym położeniu niż mężczyzna?” Pytanie to stawiało wiele kobiet przede mną. Nie dość wiele. Ciągle trzeba je stawiać. I ciągle szukać odpowiedzi. Żeby kobietom żyło się lepiej.

---

* W latach 2004–2005 pełniłam funkcję pełnomocnika rządu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn. Z urzędu odeszłam wraz z rządem Marka Belki po wyborach parlamentarnych (2005), które wygrał PiS. Jedną z pierwszych decyzji premiera nowego rządu Kazimierza Marcinkiewicza była likwidacja urzędu pełnomocnika. Premier uznał, że kobiety mają taki sam status jak mężczyźni. W składzie jego gabinetu nie było ani jednej kobiety. Marcinkiewicz zrobił polityczną karierę jako bezkompromisowy obrońca chrześcijańskich wartości, w szczególności rodziny. Po odejściu z funkcji premiera dostał intratną zagraniczną posadę w Londynie, potem rozwiódł się i przeszedł do show-biznesu. O dalszych losach tego obrońcy świętości rodziny i jego nowej żony można przeczytać na www.pudelek.pl.

1. CZY PANI JEST FEMINISTKĄ?

Pytanie to brzmi niemal jak: „Czy pani jest terrorystką?", „wiedźmą?" lub „komunistką?", a w wersji jeszcze bardziej radykalnej: „Czy ma pani coś wspólnego z Kazią Szczuką?!" Nie!! Chyba nie... a może tak..? No tak!

Waldemar Łysiak – niewątpliwie bardzo oryginalna postać gabinetu polskich osobliwości – zabrał ongiś głos na temat wstydu i napisał swoim genialnym piórem: „Wszelacy bezwstydni obrońcy łajdactwa czy zboczeń, wszelkie obrończynie pseudotolerancji czy feminoterroryzmu, różne Kingi, Jarugi, Szczuki, Środy muszą uważać"[3]. Po czym posypały się groźby. Można oczywiście powiedzieć, że Łysiak ma poważne problemy ze sobą, ale wtedy trzeba by też zdyskredytować niemałą rzeszę jego czytelników. A to nie cała, ale – Polska właśnie. Feministką lepiej tu nie być. Straszy, wścieka, budzi agresję. Odejmuje rozum tym, którzy go mieli.

Stereotyp feministki jest bardziej trwały niż Polaka-katolika. W Kościele, jak się powiada, jest rozłam, jedni więc lgną do Życińskiego, inni do Głódzia. Jedni są otwarci, inni ortodoksyjni. Jedni wielbią Najświętszą Panienkę w Częstochowie, inni ojca Rydzyka w eterze. W czasie wakacji 2006 roku pojawiła się wersja „katolicyzmu turystycznego" i przyjęła się w postaci pielgrzymek autokarowych. Jest ruch i zmiana. A „feministka" od lat pozostaje ta sama, ani liberalna, ani

ortodoksyjna, ani wielbiąca, ani posłuszna: po prostu zła i głupia. A do tego kompletnie wymyślona.

Feminizm, zgodnie z potocznym rozumieniem tego słowa, stanowi ideologię kobiet samotnych, agresywnych, radykalnych pod każdym względem, być może nawet lesbijek, które na wiecach lub w siłowniach walczą z tym, „co naturalne", „boskie", „tradycyjne". Feministki – idąc dalej tym tokiem myślenia – z reguły mają poważne mankamenty urody i sporo nałogów (Piotr Zaremba tak mnie opisał w „Newsweeku": „Wiecznie skrzywiona twarz znerwicowanej intelektualistki, która popala papierosa za papierosem"; Kinga Dunin[4] twierdzi, że to ją miał autor na myśli, w każdym razie jeśli chodzi o papierosy, bo to, że każda feministka jest znerwicowana i „ma wiecznie skrzywioną twarz", jest opinią powszechną i ugruntowaną). Feministki są jawno- lub kryptokomunistkami („ty bolszewicka konserwo!" – napisał mi niedawno jeden internauta, komentując mój artykuł), pewnie dlatego można nimi straszyć dzieci, przeciwników politycznych i wszystkich tych, którzy szukają łatwych wyjaśnień dla złożonych zjawisk życia społecznego. Według niektórych respondentów, badanych przez Małgorzatę Fuszarę, feministki to: „osoby, które chcą sobie podporządkować mężczyzn", „odrzucające mężczyzn", „nie wiem, ale to najgorszy człowiek", a feminizm to: „głupota i nic więcej", „coś, czego nie powinno być", „coś urojone przez kobiety", „demoralizacja życia społecznego", a nawet „ruch przeciwko Żydom", „dyskryminacja różnych wyznań" i – „to samo, co socjalizm"[5].

Feministki odpowiedzialne są za nietrwałość rodziny, przemoc domową, bezpłodność, bezdzietność, zapaść demograficzną kraju, bezrobocie, kryzys męskości, upadek autorytetów, alkoholizm, uwiąd tradycji, rozpasanie seksualne,

nowotwory, samotność wszystkich i gradobicie. Kilka lat temu eksposeł Jackowski napisał dwutomowe dzieło zatytułowane – jak na posła porządnej prawicy przystało – *Bitwa o Polskę* i *Bitwa o Prawdę*, gdzie jako przyczynę kryzysu rodziny, uwiądu kobiecości prawdziwej i ogólnej obyczajowej degrengolady wskazywał komunistyczne pismo „Kobieta i Życie", które ponoć lansowało emancypacyjny tryb życia kobiet w sposób tak skuteczny, że dziś pan poseł może tylko wyszarpywać sobie włosy z głowy, biadoląc nad bezpowrotnym upadkiem kobiecości, rodziny, polskości i Prawdy w ogólności.

Mirosław Kofta w przeprowadzonych w 2007 roku badaniach[6] twierdzi, że feministek się nie lubi, bo: po pierwsze, przypisuje się im (*sic*!) „wysoki stopień agresji interpersonalnej", a po drugie, przypisywana im agresywność narusza fundamenty schematu kultury społeczeństwa tradycyjnego, w którym kobiety są istotami łagodnymi, miękkimi, opiekuńczymi i wstydliwymi. Gorzej! Wobec kobiet, które przyznają się do feminizmu, pojawia się duża liczba uprzedzeń, z których powodu (1) feministki zatrudnia się mniej chętnie niż niefeministki; (2) niechętnie się w nie inwestuje jako w pracowników; (3) nisko ocenia się ich możliwości awansu. Jeszcze gorzej! W przypadku dyskryminacji w miejscu pracy feministka w mniejszym stopniu niż niefeministka postrzegana jest jako ofiara, mniej się jej współczuje i mniejsza jest chęć nawiązania z nią osobistego kontaktu. Profesor Kofta stwierdza, że „bycie feministką jest prawdziwym stygmatem". Nie trzeba jednak badań, by to wiedzieć, widzieć i czuć.

Galeria antyfeministów[7]

Feministki mają mnóstwo nienawistników i wrogów, choć niekoniecznie tak pospolitych i żałosnych jak Waldemar Łysiak. Jeden z nich to typowy Don Kichot. Postać spotykana na salonach, w publicznych debatach i w Krakowie. Jest to pan z pozycją i tytułem, bywa, że i w randze ministra (edukacji*). W towarzystwie osoby, o której wieść niesie, że jest feministką, zachowuje się jak Don Kichot. Traci zmysły, tudzież rozum, i walczy z nią jak z armią wojsk, choć ma przed sobą użyteczny wiatrak. Widziałam wielu Don Kichotów, teraz jest ich Czas (zresztą, kiedy go nie było?). Niezależnie od tego, o czym się z nimi rozmawia (czy o Kancie, czy o społeczeństwie obywatelskim, no i – nie daj Boże – o tolerancji), nic nie słyszą, nic nie widzą, tylko tę armię wojsk, którą *pro publico bono* trzeba zmieść z życia publicznego. Don Kichot przybiera w naszym kraju postać bardzo agresywną. Jak na konserwatystę i katolika przystało.

Innym typem antyfeministy jest Racjonalista. Powołuje się na oczywistości i traktuje cię jak dziecko, mrucząc sobie pod nosem, że „taka głupia baba i tak nie ma racji, bo jest babą". Racjonalista ciągle czegoś dowodzi, na zimno i konsekwentnie: „bo taka jest natura kobiet, bo z tych założeń, przesłanek i danych nic innego nie da się wysnuć (kobieta musi rodzić, mężczyzna rządzić, to jest racjonalne)". Racje Racjo-

---

* Prototypem tej postaci jest profesor Ryszard Legutko. Świetny specjalista od Platona, intrygująca osobowość, zaciekły i nieprzejednany wróg feminizmu i feministek. Profesor Legutko jako jeden z nielicznych filozofów uwierzył we własną (a właściwie platońską) teorię, że rządzić powinni filozofowie i że celem ich władzy jest obrona wiecznej Prawdy. Funkcje obrońcy pełnił profesor najpierw w senacie, potem w ministerstwie, a obecnie u boku samego prezydenta RP. Przed nim już tylko Watykan.

nalisty są zawsze po jego stronie lub po stronie tych, którzy się z nim zgadzają.

Z kolei antyfeminista Znudzony słucha cię – z pozoru – uważnie, a potem mówi: „A pani ciągle o tym samym! Ileż można! Porozmawiajmy o bardziej uniwersalnych rzeczach". Znudzony często przybiera pozy, które są znane ateistom, kiedy do ich drzwi puka świadek Jehowy: „Może innym razem", „Panu już dziękujemy!" W gruncie rzeczy nie jest to złe zachowanie, przeciętny katolik nie dziękuje, tylko zatrzaskuje innowiercy drzwi przed nosem.

Antyfeministycznego Śmieszka poznasz po minach. Wysyła do innych znaki, podnosi brwi, robi grymasy, jest strasznie zabawny, starając się odciągnąć uwagę od tego, co mówisz, i wszystko obrócić w żart: „No pani przecież tylko tak żartuje! Jakżeby ta mała, śliczna główka mogła tyle pomieścić?!" Bardziej nieprzyjemnym typem Śmieszka jest Redakcyjny Wesołek, często w roli felietonisty. Każdy prawicowy dziennik ma co najmniej jednego takiego, a niektóre po dwóch. Gdy brakuje mu tematów, a wyobraźnię ma małą, odwrotnie proporcjonalną do materialnych potrzeb (kolejna żona, kolejne dzieci, dom pod Warszawą), bierze się do feminizmu. Temat to dla niego niewyczerpany! A do tego nie trzeba nic wiedzieć, nic czytać, nikogo słuchać. Wystarczy trochę poprzesadzać, trochę uogólnić, wsadzić wszystko pod wielki kwantyfikator, dorzucić żart i tekst gotowy. Te feministki są przecież tak dziwaczne! Co ciekawe, każdy z rodzimych Śmieszków wie, że podobne żarty nie przejdą w żadnym innym cywilizowanym kraju poza Polską. I nie zarobi się na nich, lecz straci. Tu jest jednak ciągle raj dla Redakcyjnych Wesołków. Ciągle można pośmiać się z Murzyna, powyszydzać feministkę, a nawet opowiedzieć kolegom antysemicki żart. Bo przecież poprawność polityczna prawdziwych Pola-

ków nie obowiązuje. No, chyba że Redakcyjny Wesołek (niekiedy występuje w postaci poważnego analityka politycznego) jest akurat Żydem, wtedy śmieje się z ekologów czy socjalistów. Jak pisze Adam Szostkiewicz: „W dzisiejszej Polsce konsens tematyczny w głównych mediach wygląda mniej więcej tak: dobry jest system rynkowy, integracja europejska, *american dream*, prezydent, papież i Kościół, złe są populizm, państwo opiekuńcze, Radio Maryja, wszelkie subkultury, islamski fundamentalizm, a podejrzane są zawsze feministki i Rosja”[8].

Antyfeministyczny Rycerz jest galanteryjny, romantyczny, waleczny i ciągle stara się dowieść, że kobieta nigdzie nie ma się lepiej niż w patriarchacie, którego on jest najpiękniejszym przejawem. „No bo kto by ci otwierał drzwi i walczył o ciebie!” Rycerskość jako paliatyw na społeczną niesprawiedliwość wobec kobiet stanowi od setek lat technikę jej skutecznego maskowania. I dlatego wciąż tak mocno się trzyma.

Antyfeministycznego Demokratę łatwo poznać po niezmiennie powtarzanej frazie: „Kiedyś kobiety nie miały praw, to prawda, ale przyszła demokracja i je mają, a więc nie ma już o co walczyć i dajmy z tym spokój. Są ważniejsze sprawy”.

Podobną postać przyjmuje antyfeministyczny Patriota, który od setek lat uważa, że są w Polsce sprawy priorytetowe dla „narodowej substancji” i poboczne, czyli te związane z demokracją i równością. „Najpierw niepodległość!”, „Najpierw władza!”, „Najpierw wejście do Unii”, „Najpierw pozbądźmy się Kaczyńskich, walczmy o swobody obywatelskie zagrożone przez twórców IV RP, na sprawy kobiece przyjdzie czas w wolnej Polsce” – mówił niegdyś. „Najpierw kryzys!” – mówi teraz. I nie jest w stanie przyjąć innej optyki.

Antyfeministyczny Polityk Postępowy mówi ci, że jest absolutnie „za" i że wszystko rozumie: „tę emancypację" i „tę potrzebę niezależności", ale „ktoś – na Boga! – te dzieci musi rodzić i karmić! No ja mleka nie posiadam!" Gdyby jednak Polityk Postępowy był naprawdę „postępowy", wiedziałby, że mleko może mieć. „Zjawisko spontanicznej laktacji, niczym niepobudzanej, stwierdzono u samczyków malezyjskich nietoperzy" i u kozłów, „wystarczy je rozdoić" – tak twierdzi, przywołując opinię specjalisty, Kinga Dunin w *Zadymie*[9]. Jeśli spontanicznie nie da rady, można dorzucić trochę prolaktyny, w końcu mężczyźni mają i gruczoły, i kanały, czyli baza jest. „Kluczową sprawą – pisze Dunin – i tak są dobre chęci". Gdy chęci brak, jest biotechnologia. I taki polityk, zamiast zajmować się polityką, mógłby karmić. Często byłoby to z wielkim pożytkiem i dla jego dzieci, i dla Polski w ogólności.

Don Juani, których spotykało się w młodości, mówili: „z feminizmem ci do twarzy", „twoja walka o prawa kobiet mnie podnieca, ale chodźmy wreszcie do łóżka, zobaczysz, jak fajnie być obiektem seksualnym". Bez komentarza.

Antyfeministyczny Fizjonomista podkreśla naturalną słabość i piękno kobiet, które – jeśli tylko staną się niezależne – stracą wszelkie dane im przez biologię i Boga wdzięki. Fizjonomista, gdy zaczyna odgrywać rolę w polityce, staje się natychmiast Konserwatywnym Scjentystą (znaleźć można ich wszędzie, wiek nie gra roli, przynależność partyjna i poziom inteligencji – tak). Konserwatywny Scjentysta po prostu wie, że kobiety mają mniejszy mózg i dlatego nie powinny studiować informatyki, są słabe i dlatego przywileje wojskowych nie powinny być im dostępne, mają macicę i dlatego powinny rodzić i zmywać naczynia, mają okres i są histeryczne, dlatego nie powinny obejmować kierowniczych stanowisk. Byłam

kiedyś na konferencji we Wrocławiu, notabene poświęconej równości, a do tego międzynarodowej. Zaproszeni goście z Francji, Rumunii, Anglii i Niemiec, słysząc podobne opinie z ust przedstawicieli miejscowej władzy i samorządu, poprawiali gorączkowo słuchawki na uszach, naiwnie myśląc, że winę za wszystko ponosi tłumacz. Gdy okazało się, że tłumacz jest bardzo dobry i aż nadto skrupulatny, powiedzieli mi: „U nas traci się stanowiska za takie wypowiedzi", a pan z Brukseli dorzucił: „Nawet po pijaku takich rzeczy już się nie mówi. To wstyd". U nas jednak antyfeminista nie ma poczucia wstydu. Jest dumny, że ma przekonania i że przekonania te są „jedynie słuszne" (upewnia go w tym lokalny przywódca partyjny, Rydzyk, a czasem nawet sam Watykan), a jeśli nawet nie słuszne, to na pewno ogromnie zabawne.

Znacznie bardziej finezyjnym antyfeministą jest Ontologiczny Pesymista. Twierdzi on, że wszelkie relacje międzyludzkie mają charakter antagonistyczny i że antagonizm ten nie zależy od natury społeczeństwa i jego ustroju, lecz bytu jako takiego. Wszelkie tedy próby reform tudzież ruchy emancypacyjne nie mają sensu, gdyż problemem nie jest dominacja mężczyzn w patriarchalnym społeczeństwie, lecz „życie jako takie".

Jest też specjalna grupa antyfeministów, o których trudno mi pisać i z żalem to robię, bo są kobietami.

Kto wymyślił podpaski?

Wiele jest przyczyn tego, że kobiety nie znoszą innych kobiet (czym się zajmę w rozdziale poświęconym solidarności kobiet). Nienawiść do feministek wśród kobiet, które swoją niezależność i pozycję zawdzięczają właśnie feministkom (niegdysiejszym), jest powszechna i ciągle rewitalizowana.

Po pamiętnym spotkaniu z okazji 8 marca (w 2007 roku) u pani prezydentowej Kaczyńskiej można by napisać pracę magisterską na temat antyfeministek. Spotkanie było w gruncie rzeczy mało istotne i dość zabawne (8 marca w stylu lat 70.), choć dzięki ojcu Rydzykowi, którego jakiś pogański bóg przysłał na ziemię, by zniszczył katolicyzm i dobre imię Polski, zyskało miano „szamba". W rzeczywistości było tam jednak więcej kobiet tradycyjnych i antyfeministek, niż ojciec Rydzyk mógłby sobie wyobrazić. Określenia „feministka" nie brzydziłoby się może pięć, sześć pań, reszta to były kobiety porządne, w większości dziennikarki, które ochoczo dowodziły, że wszystko zawdzięczają sobie, i te, które rozwijały teorię, że indywidualny los zależy od indywidualnego geniuszu i że widocznie w historii było więcej geniuszów męskich, skoro o tych kobiecych nic nie wiadomo. Pewna młoda dama twierdziła otwarcie, że jest świetna i feminizm nie jest jej do niczego potrzebny. Niektóre z kobiet wyrażały uwielbienie dla mężczyzn, no bo kto wymyślił „nam" telewizory, pralki, lodówki i podpaski? Ktoś inny skonstatował, że różnice między kobietami a mężczyznami są wieczne, bo wszak dziewczynki lubią to, co różowe. Mniej malownicza większość była przekonana, że to absolutnie wszystko jedno, czy jest się kobietą czy mężczyzną, bo problemy są uniwersalne. A poza tym – mówiły jeszcze inne panie – zajmijmy się głodem na świecie i bieżącą polityką, bo kwestie dyskryminacji kobiet czy braku solidarności między nimi to kwestie wymyślone (przez feministki) i marginalne. Ponieważ jednak do „bieżącej polityki" należał pomysł zmiany konstytucji, na który wpadł bodaj Marek Jurek (zmiany polegały na całkowitym zakazie aborcji), znudzona kobiecą dyskusją Monika Olejnik wymyśliła protest. Co wymyśliła, to napisała, a potem zbierała podpisy. Zebrała ich sporo, bo kto odmówi podpisu samej Monice?! Zrobił się